



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Tadeusz Frydecki

Zagubione kartki

30/31 sierpnia 1944 roku. Trwają walki w ramach Powstania Warszawskiego. Opisując historię powstania nie można pominąć ważnego odcinka: ulica Solna – Plac Mirowski – Druga Hala Mirowska. Nie wolno nie wspomnieć o tej garstce młodzieży, która tej nocy (godzina 1.30), aby utorować drogę oddziałom ze Starego Miasta, wdarła się w serce trasy niemieckiej Wschód – Zachód. Nasza grupa liczyła około dwudziestu ludzi i podzielona była na dwie drużyny. Dowodzili tej nocy: podchorąży „Kolec” i podchorąży „Altaj”. Panowie oficerowie – „Corda”, „Zgrzyt” i „Sławek” – nie przekroczyli muru przed głównym wejściem do Hali. Ledwie Niemcy otworzyli ogień z kaemu, a czmychnęli w gruzy pozostawiając nas bez dalszych planów. I bez tego mieliśmy dużo uciechy. Noc była naszym sprzymierzeńcem. Pierwszy ogień był fraszką. Z tymi nie zaczynaliśmy tylko skoczyliśmy w ciemności na pl. Mirowski. Dopiero tutaj była zabawa. Niemcy biegli od kościoła Karola Boromeusza nie wiedząc o nas. Krótka, ale skutecznie trwała strzelanina. Hitlerowcy szybko skoncentrowali się i dali nam ognia z moździerzy. Kiedy wycofali te piekielne maszyny, w kilkanaście sekund – zupełnie przytomni i zadowoleni – zbierając rannych podchorążych wycofaliśmy się. Nikt z naszych nie zginął.

Byliśmy samotni bez „Stefana” i nieznanego mi „Lecha”. Uszła kompania „Cordy”, rzucona jak kość psom na pożarcie. Bolał mnie brzuch od śmiechu, bo jeszcze długo Niemcy ostrzeliwali z moździerzy nasze puste gniazdo.

* * *

Była już późna noc, a my – żołnierze kompanii „Corda” – leżymy cichutko w gruzach, między placem Grzybowskiem i drugą Halą Mirowską. Czekamy tu od godziny jedenastej do pierwszej trzydzieści. Wypatrujemy zielonej rakiety, która będzie znakiem, że Starówka rusza do natarcia, więc i my od strony Śródmieścia mamy im pomagać.

Nasze zadanie to wyprzeć Niemców z Hali, wysadzić basztę pożarową, opanować plac Mirowski i bronić wylotu ulicy Solnej. A jest nas około dwudziestu. To stanowczo za mało na tak dużą przestrzeń. Zmartwienia nie mamy wiedząc, że po obu stronach naszego gniazda uderzają dwa inne rzuty. Wiążą Niemców bitwą i zamiast jednego, to mamy trzy fronty. Nie trzeba być Salomonem, żeby tą prostą taktykę znać i opanować. Wobec tego każdy, byle uczciwie, wykona swoje zadanie. Wszystko jasne.

Zapoznajmy się choć trochę z naszą kompanią i jej dowódcami. Po odesłaniu na Starówkę części pododdziału pozostało z nami trzech oficerów i dwóch podchorążych. Oficerowie – „Corda”, „Zgrzyt”, „Sławek”, podchorążowie – „Altaj” i „Kolec”. Pan „Corda” miał dużo zajęcia na mieście.

* * *

W Lamsdorfie, po wizycie u kolegów w pierwszej drużynie, nastąpiła i we mnie zmiana. Dotąd leżałem na pryczy zdruzgotany i bezmyślny, bo to tylko jedna myśl włoczyła się w głowę, a jej, w żaden sposób pozbyć się nie mogłem. Mogłoby się to utrwalić i zmienić w jakąś chorobę. Była to nasza klęska i żebracza włóczęga po świecie – mojej i wielu tysięcy rodzin wypędzonych z Warszawy. W zimne dni października dzień i noc na tułaczce. A mili gospodarze, za pieniądze nie dadzą łyżki ziemniaków. Chcą bodaj powłóczkę. Rozmowa z chłopami odwróciła mój sentyment. Dotąd nie zastanawiałem się nad tym, że dobrowolnie poświęcam swoje życie dla innych. Wy wiejcie, a ja zostanę, bo będę tu potrzebny. Nie myliłem się, bo to było całkiem jasne. Co to dało? Co pozostało? Jest tu dużo czasu – przemyślimy, bo do tej pory za nas myślano.

* * *

Nie można wygrać walki taką garstką ludzi, całkowicie nie uzbrojonych. Czego można było się spodziewać? Chyba, że rzuca się ich w ten punkt jako zaczepkę – dla odwrócenia uwagi Niemców. Wtedy inne oddziały – jako tako uzbrojone – korzystają z tego zamieszania u Niemców i mogą skutecznie, błyskawicznie natrzeć. W takim razie my – dwudziestu ludzi – rzuceni byliśmy na pożarcie wilkom? To dlatego nasi oficerowie, będąc wcześniej na odprawie i wiedząc o tym, zwiali w gruzy. Nie powiedzieli nam nic o naszym zadaniu i co nas czeka. Nie wiem, czy faktycznie tak wyglądał plan, ale my swoje zadanie wykonaliśmy. I czy zabitym czy żywym, krzyż *Virtuti Militari* uczciwie się wielu z nich należy. A tym porucznikom, którzy nawiali w gruzy, nominacji na kapitanów bym nie dał. Po prostu dlatego, że nie dzielili losu z nami.

* * *

Mijają długie lata i – oprócz oficerów – szarą brać pył i kurz pokrył i nawet uczciwego wspomnienia o nich nie ma. Wreszcie zrozumiałem, że skoro już jest taki świat, to takim pozostanie i choćbyś nie wiem jak pragnął i nad tym pracował, to inny nigdy nie będzie. Tylko dla własnej satysfakcji, zapamiętajmy choć pseudonimy tych, których powinnością jest cokolwiek wiedzieć, bodaj – jakim cudem ta garstka chłopców, dokonując tak wiele, zdołała wyrwać się z kleszczy w nierównej walce z piekielnego ognia moździerzy, wyprowadzić i wynieść rannych, nie dając najmniejszej satysfakcji szkopom.

Dumny jestem, że żołnierze z naszych dwóch skromnych drużyn pod dowództwem podchorążych „Altaja” i „Kolca” oraz „Basi” zasłużyli na miano bohaterów. Byli wspaniali. Śmiało ruszyli w środek nierównanej siły i wytrwali do końca. Szczęście mi sprzyjało, bym mógł wynieść ciężko rannego „Kolca”. Huknąć i doprowadzić do porządku żołnierskiego rannych: „Altaja”, „Basię” i „Kłosa”, a „Wróbla” wprzęgnąć do pomocy. Tym okazać naszą wyższość i niepokonalność. A zwycięzcą dzięki temu uporowi zostaliśmy my.

Mimo jawnej tragedii nie uciekł się do ratowania własnego życia. Widząc pewną zgubę pozostawionych bez pomocy przyjaciół „Sowizdrzał” nie dał najmniejszej satysfakcji szkopom. I może być dumny. I mogą być dumni z takich jak on starsi dowódcy.

* * *

Leżymy sobie na gruzach między palcem Grzybowskiem i drugą Halą Mirowską. Jest nas dwa razy po dziesięciu. A skoro tak mało, to nawet nie dali nam ani jednego pistoletu maszynowego. „Kolec” miał własną krótką broń, a „Altaj” kbk. Już późno w nocy – blisko pierwsza. Pan „Corda” daje rozkaz i idziemy. Wciąż z myślą, że dołączymy do tych, co mają broń. Ale gdzie tam. Pan „Corda” zameldował w jasno oświetlonej piwnicy, że kompania jest gotowa do boju. Kiedy wyszliśmy z tego światła byliśmy zupełnie oślepieni. Staraliśmy się iść po tych zwałach gruzu tak jak zawsze – gęsiego. Chociaż broni palnej brakowało, za to granatami każdy był obwieszony. Niezupełnie było to dobre, bo tylko na większą odległość można było coś zrobić, a w przypadku spotkania oko w oko z Niemcem to już klops. Za mną szła sanitariuszka „Basia”. Ta bez przerwy chichotała. Robota ma być ciekawa, bo z zaskoczenia, a Niemcy się tego boją.

Byleby zapewniony był odwrót – wtedy cichcem upatry się dobry obiekt, skąd dochodzą odgłosy rozmawiających w grupce szkopów. W grupce palą sobie papierosy. Wtedy narobi się rumoru, a mięsa – co niemiara. Gorzej z minami, bo trasa Wschód - Zachód jest zabezpieczona. W tej sytuacji nie idziemy łatwą drogą, lecz trudniejszą, gdzie się najmniej szkopy spodziewają.

W tej chwili jesteśmy w miejscu, gdzie do dziś stoi stary bunkier – naprzeciwko bramy (bocznej) do Hali. Gdyby to była robota na własną rękę, bez dowódców i ich planów, to zatrzymalibyśmy się przy

murku i posłuchali. W bramie stała grupka Niemców. Nie byli przygotowani, bo błyskawicznie przeskoczyliśmy ów murek, a oni ognia nie otworzyli. Skokiem wlewo zajęliśmy mały murowany domek o trzech oknach. Jedno okno wychodzi na plac Mirowski, drugie na halę – tu gdzie dziś jest główne wejście, a trzecie – naprzeciwko drzwi, którymi tu wskoczyliśmy. Dobrze się stało, że wszyscy byliśmy poza linią drzwi – okno, bo Niemcy już się zorientowali, postawili karabin maszynowy i zaczęli strzelać w te drzwi. Pociski przeszły przez nasze pomieszczenie i poszły w okno – na szczęście za naszymi plecami. Jednocześnie oddali serię w przejście przez murek. W ten sposób zostaliśmy uwięzieni w małym pokoiku. Wystarczyłoby parę wiązek granatów, żeby nas zlikwidować. Należało w tych dwóch oknach dobrze pilnować, by do tego nie dopuścić.

Niemcy przebywający przy kościele, słysząc awanturę przy hali, pospieszyli gromadnie, pędząc przed naszymi oknami. W ten sposób robota sama w ręce weszła i poszły w ruch granaty. Ach, co za kotlety. Choć było ciemno, ale można było dostrzec wiele wijących się „szmat” na bruku placu Mirowskiego. Zawrócili, a podchorążowie jeszcze posłali za nimi ze swojej broni kilkanaście sztuk ołowiu.

– Teraz należy błyskawicznie zmienić naszą pozycję, korzystając z tumultu wyskoczyć tymi oknami na plac i cofniemy się za budynek, a dalej pod płotami i do piwnic – powiedziałem głośno, by podchorążowie słyszeli.

Gadaj do księżycy. Stoją przy oknach i czekają na głupiego. Taki się już nie pokazał, ale od strony kościoła Niemcy dali nam do wiwatu pociskami z moździerzy. Kilka z nich przeleciało nad nami, co spowodowało, że rozlokowani w pobliżu ze swym karabinem Niemcy usunęli się w głąb budynku. Chłopcy nie spali i w sekundę byli już za trzecim oknem. Celna tym razem salwa zakurzyła nam pomieszczenie. „Altaj” dostaje w oczy, pył dusi w gardle i w piersiach. „Basia” chce opatrzeć „Altaja”, a tu „Kolec” wije się i ryczy. Dobra nasza – zaczęń teraz ja. A tu Basia woła – „Boże mój, Boże! Po co ja tu przyszedłam!” Dostała w plecy. Pośpieszyłem do „Kolca” i zauważyłem, że pod nogami telepie się do okna „Wróbel”. Poczekaj bracie, pójdziemy razem i zabierzemy „Kolca”. Głośno krzyknąłem: „Basia” i „Kłos” – brać „Altaja” pod rękę i w to okno, ale już!” Bractwo słysząc jeszcze zdrowy głos nabrało energii i poturlało się za okno.

Na podwórku głowę „Kolca” owinąłem we własny mundur, żeby nas nie wydał, bo na wieży strażackiej stoją gotowe do strzału karabiny maszynowe. „Kolec” drżał biedaczysko – ja na kolanach, a on tyleczkiem szlifował cegły. Byliśmy wyczerpani. Mielśmy jednak szczęście i olbrzymią satysfakcję – czekały nas odznaczenia. Tak mi wróżył kolega „Gołąb” po wizycie w pierwszej drużynie. Masz rację Mietku – Krzyż Walecznych jakby w kieszeni, ale czy to odwróci naszą porażkę?

Po ostatnim skoku przez Grzybowską – co z rannymi właściwie trudno nazwać skokiem – cywile obserwujący z bramy naszą odwagę, zabrali od nas rannych i dostarczyli do szpitala. Inka wysłałem do punktu dowodzenia z raportem, a sam z „Wróbłem” i „Kłosem” ruszyliśmy szukać „Corda”. Dotarliśmy do kwatery, gdzie zastałem panią Zofię i ranną w kolano Grażynę. Na widok sienników zaczęły mi się zamykać oczy i uginać nogi. „Kłos” zasnął natychmiast snem sprawiedliwego. Zacząłem go budzić. Nie reagował. Obudził się dopiero wtedy, kiedy zjeżdżałem z siennikiem po schodach. Byliśmy głodni. W opuszczonym sklepiku było dużo budyniu, ale my nie mieliśmy wody. Poszliśmy w „skalistą pustynię”. Nic nie wskazywało, że kogoś tu jeszcze można spotkać. W końcu dotarliśmy do miejsca, gdzie znaleźliśmy naszych panów oficerów skaczących sobie do gardeł za zachowanie podczas akcji. Jeden z poruczników stanął przede mną w celu wysłuchania raportu. Walcząc z dławiącym mnie śmiechem powiedziałem krótko: „Dopóki było czym, biliśmy szkopów, bo sami do nas leżli. Potem dali nam wystarczająco do wiwatu. Podchorążowie i „Basia” przebywają ranni w szpitalu, zabitych nie ma”. Niemniej jednak pozostało jeszcze zdać raport w centrum dowodzenia u majora „Zagończyka”, żeby za tak wspomniały wyczyn Krzyż Walecznych nie ominął.

* * *

Byliśmy sami i wstyd nam było, że czołgi po Żelaznej buszują bezkarnie. Do licha – porucznik zajęty był interesami na mieście. Wobec tego porwaliśmy się sami. A że to czołgi, a my słabo uzbrojeni – to cóż? Dawaj w ręce butelki i tak zawędrowaliśmy na pocztę dworcową. Z początku rozpędziliśmy się na czołgi w aleje, ale na przejeździe przez tory dali nam Niemcy od dawnego dworca z broni maszynowej takiego łupnia, że ledwie rakiem wycofaliśmy się i trafiliśmy na sierżanta „Grzesia”. Ten wskazał drogę do budynku poczty dworcowej. Tutaj rozsypała się brać po różnych pokojach i butelkami biliśmy się ile wlezie. Barykada paliła się bez przerwy. Ja – „Sowizdrzał” i „Wiktoria” byliśmy w narożnym pokoiku, bo było mniej gałęzi przed oknem. Tu było aż ciasno. I tu nastąpiła tragedia, bo przez okno wpadł pocisk, rozerwał się na suficie i spowodował rzeź trudną do opisania. Oprócz mnie i Wiktorii nie było tam nikogo całego. Aż nie do wiary. Ale zwariowane dzwony w uszach długo nie pozwalały mi usłyszeć cokolwiek. „Aleśmy przeżyli panie „Sowizdrzał”” – tymi słowami witała mnie Wiktoria przy każdym spotkaniu. Ale ja już do końca powstania za Boga nie ruszyłem się nigdzie...